№ 34. Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

DZIENNICZEK JANINY.

Z ŻYCIA PARYZKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Otóż i opłatek — zawołał uradowany, ocierając łzę z oka. — Zgadnij od kogo liścik?

Głos tajemny szepnął mi, że od Zosi, lecz nieśmiałem się przyznać.

— Mów! mów, może to z kraju!

— Tak z kraju — powtórzył Tadeusz — od mojej siostrzyczki ukochanej, ale zgadnij od której.

To mówiąc, pokazał mi koniec listu, zasłoniwszy podpis. Wyczytałem tylko: „Do widzenia!" Pojaśniało mi w oczach.

— Biedna Zośka! — ciągnął Tadeusz — ileż to w jej słowach żalu i tęsknoty! Patrz, kończy liścik zwrotką Stefana Witwickiego:

Gdybym ja była ptaszkiem w ciemnym gaju,
W twoim bym tylko chciała śpiewać kraju,
Ani na góry, ani na lasy,
Ale po wszystkie czasy,
Pod twem okienkiem,
I tylko dla ciebie.
Gdybym ja mogła w ptaszka zmienić siebie!

Tadeusz czytał rzewnym i czystym głosem, mnie serce topniało, jak wosk pod promykiem słoneczka.

Odczytaliśmy liścik cały, milczeliśmy długo. Tadeusz powstał wreszcie, zaprowadził mnie do kominka. Gdyśmy siedli, pochwycił mnie za rękę.

— Posłuchaj bracie — rzekł z powagą — gdybyśmy też usłali gniazdeczko naszej miłej ptaszynie? bo choć nic o tem nigdy nie wspominałeś, wiem że ona drogą twemu sercu.

— Jakto? — zawołałem — my biedni, bez jutra, istne ptaki wędrowne, godziż się narażać ją na nędzę życia tułaczego, odrywać od koła rodziny?

— Ona sierota — odparł Tadeusz — wychowana w ubóstwie i pracy. Ona się niczego nie ulęknie. Jako brat starszy, zezwalam chętnie na wasz związek, pewien że będziecie żyć po Bogu, w najściślejszej zgodzie.

— Dzięki ci bracie, za dowód ufności — odparłem, ściskając Tadeusza — bądź pewien, że cię nie zawiodę, że się okażę godnym Zosi.

Następnych dni Tadeusz poszedł na zwiady, odkrył przypadkiem tego pana, który przywiózł mu liścik, na ręce jego posłał siostrze odpowiedź. Przedstawił jej życzenia swoje. Zgodnie z jego wolą i ja dopisałem kilka słówek. Nieśmiałem nalegać, żal mi było niebogi. Mógłżem ją sumiennie namawiać na tyle poświęceń i trudów?

W Lutym otrzymała Zosia nasz liścik, bez chwili namysłu wyznała ciotce postanowienie swoje. Z błogosławieństwem jej puściła się w daleką podróż. Przybyła tu pięćdziesiąt lat temu, przywiozła z sobą wszelkie wymagane świadectwa. Chcąc mieć nad sobą jakiś cień rodzicielskiej opieki, udała się o nią do czcigodnej Klementyny Hofmanowej, której wykładów słuchała, będąc na pensyi pani Wilczyńskiej w Warszawie.

W kilka dni po przyjeździe Zosi, byliśmy zaręczeni.

To mówiąc, dziadunio zdjął z palca skromny pierścioneczek z turkusowem oczkiem.

— Tę najdroższą pamiątkę — rzekł — daję ci Janko na wiązanie. Skończyłaś rok szesnasty, z dziecka wyrosłaś na panienkę. Dobrze ci w rodzicielskim domu, pozostań w nim dziecię, jak

najdłużej; ale jeżeli kiedyś, za lat kilka, gdy mnie już nie będzie na ziemi, znajdziesz godnego siebie młodziana i zechcesz jak babunia twoja zemną podzielić z nim prace i mozoły, oddaj mu ten pierścionek, on wam przyniesie szczęście. Weź go, a z nim razem przyjmij błogosławieństwo dziadka.

Milczał chwilę, siedziałam u stóp jego drżąca i zapłoniona, ucałowałam jego ręce, przybliżyłam do ust pierścionek, a potem, niewiedząc sama co czynię, wsunęłam w niego róże trzymane w ręku. Zobaczył to dziadunio, uśmiechnął się i powstał.

— Zabierz się dziecię moje — rzekł — matka twoja wychodzi do kościoła. Ciocia Helena jest u niej, pójdzie też razem z wami.

Wyszedł z pokoiku, po chwili ukazała się we drzwiach mama a z nią ciocia, która trzymała mnie do chrztu z dziaduniem i kochała mnie jak własne dziecko. Przyniosła mi cztery tomiki Wincentego Pola, mego ulubionego poety, brakło go dotąd w mojej biblioteczce.

Dzień ubiegł nam wesoło. Ojciec pozostał cały dzień w domu, jak zazwyczaj w niedzielę. Wieczorem kółko najbliższych przyjaciół zebrało się, aby mi powinszować. Pierwszy przybył stary druh dziadunia, pan major, niegdyś towarzysz broni. Krzepki jeszcze, mimo lat siedmdziesięciu pięciu, trzyma się prosto, włosy siwe, nie tak białe jak dziadunia, sterczą mu jak szczotka nad czołem; wąsy przystrzyga krótko, cera śniada, wzrok przenikliwy, kępiaste brwi, na pierwszy rzut oka nadają mu jakąś srogą postawę, lecz kto go bliżej pozna, chce czy nie chce, musi go ukochać.

Stary wiarus, zażarty zwolennik Napoleona I-go nie ustąpi przed nikim z placu, stacza bezustanne szermierki za bohatera swego, z którym jego ojciec był niegdyś w Egipcie i zdobywał most pod Arkolem. Szarpie się za Francuzów, że cesarza dziś zapomnieli i lekceważą jego pamięć. I dziadunio mój dzieli z majorem te uczucia, ale łagodniejszy, kiwa tylko głową i nie wdaje się w spory. Cięźkiem utrapieniem dla majora jest radykalna różnica w opiniach z zięciem, zawołanym stronnikiem Orleanów.

Z tego to powodu, nie chce mieszkać z córką pod jednym dachem, mimo całej miłości, dla jedynego wnuka Stasia, a raczej pana Stanisława, bo już minęły czasy, kiedy zwałam go Stasiem, kiedy on zwał mnie Janką. Ale dosyć już tego na początek, druga bije na kościele św. Stefana. Jutro powiem coś więcej o dzisiejszym wieczorze, o rodzicach, o braciach, o dziecinnych latach moich, o majorze i o panu Stanisławie.

18 Maja.

Wczoraj nic nie pisałam, ranek zszedł na uporządkowaniu domu, jak zwykle po gościach niedzielnych; na kursach w Sorbonie, na nauce rysunku. W przyszłym miesiącu imieniny mamy, umyśliłam wymalować dla niej sześć filiżanek na porcelanie, takiż imbryczek do herbaty i garnuszek do mleka. Nie wie nic o tem, będzie to uciecha, wyjąwszy się za mój śliczny pokoik.

Zresztą nie mam ja zamiaru, pisać koniecznie codzień w tej książeczce, którą niewłaściwie nazwałam dzienniczkiem. Ale bo jakże mam ją nazwać? Pamiętniki przystało tylko pisać osobistościom wybitnym, które albo odgrywały same wielką rolę, albo też były świadkami wielkich zdarzeń i przemian, tak na polu historyi jak i literatury. Moje zapiski niechże będą dzienniczkiem, ale uprzedzam że wtedy tylko nakreślę w nim kartkę, kiedy będę miała do zapisania, coś żywo mnie obchodzącego. Uprzedzam, kogo?... chyba samą siebie, gdyż oprócz mnie, nikt zapewne czytać nie będzie tej ramotki. Schowam ją przecież, a kiedyś, za jakie lat sześćdziesiąt, jeśli doczekam wieku nieboszczki babuni, siądę sobie zimą przy kominku, włożę okulary i przerzucać będę karteczkę po karteczce, może i łza potoczy się po zmarszczonej twarzy, a wtedy jakiś siwy dziadunio zapyta mnie, jak mój pytał babunię. Co to tam jejmość czyta? proszę tylko nie płakać. Bóg dał, Bóg wziął, dziękujmy raczej za to, co nam jeszcze zostawił.

Miała też za kim płakać droga babunia i płakała, ale tak cichutko, że nikt o tem nie wiedział. Troje starszych dziateczek, położyła kolejno w trumienki, posypała bieluchnym kwiatem, później zamknęła oczy bratu Tadeuszowi, z którym nie rozłączała się przez ćwierć wieku. Jeszcze nie oschły jej łzy po tej stracie, kiedy ciocia Helena zachorowała ciężko, parę lat była między życiem a śmiercią i chyba tylko staraniom i modlitwom matki zawdzięcza ocalenie.

Biedna ciocia! co ona też przetrwała w życiu, a jakąż to siłą woli zapanowała nad nieszczęściem. Miała lat ośmnaście, kiedy przed dwudziestu przeszło laty, młodszy syn majora, a stryj pana Stanisława, dorodny młodzian, ukończywszy świetnie nauki w szkole dróg i mostów i otrzymawszy posadę inżyniera przy kolei żelaznej, począł starać się o jej rękę. Byli już zaręczeni, ślub miał się odbyć w końcu stycznia. Na parę tygodni przedtem pan Andrzej wyjechał w daleką podróż, jak mówił, w interesie służby. Mijają tygodnie i miesiące a on nie wraca. Zrazu nadchodzą listy, biedna ciocia oblewa je łzami; rozumie ona przyczynę oddalenia, dumna z narzeczonego, który dla powinności poświęcił szczęście własne, tem więcej kocha go i ceni.

Nagle ustają listy, pan Andrzej przepadł jak kamień w wodzie. W pół roku potem zjawia się nieznajomy młodzian, wręcza cioci pierścionek i pęczek włosów wyraźnie krwią poklejonych. Biedna ciocia więdła odtąd jak kwiat podcięty kosą. W lat dwa przyszła do siebie, nie była to już owa hoża Helena, błyszcząca jak niegdyś urodą. Lica jej zbladły, oko zgasło, ale umysł spoważniał, potęga woli wzmocniła wątłe ciało. Zabrała się chętnie do nauki, chodziła pilnie na wykłady, co rok do nowego sposobiła się egzaminu, otrzymała nareszcie licencyat i poświęciła się wychowaniu panienek. Mieszka o parę domów od nas. Pod troskliwem jej okiem wychowało się już kilkanaście młodych rodaczek naszych. I ja też co umiem, wszystko jej zawdzięczam.

Ciocia Helena świeci jak gwiazda w rodzinie naszej, wszyscy ją cenią i kochają serdecznie. Major otacza ją szczególnym szacunkiem, już to dla rzeczywistych jej zalet, już to przez pamięć na syna. Opryskliwy dla wszystkich, wobec niej tylko łagodny jak baranek. Nieboszczka majorowa kochała ją też jakby rodzoną córkę, lat temu dziesięć skonała na jej ręku. Córka majora, pani Adamowa, wychowana z nią razem, pokłada w niej zupełne zaufanie. Pan Adam ceni ją wysoko i przebacza jej nawet obojętność dla Orleanów. A pan Stanisław? Oh! ten, to widzi w niej najwyższy ideał kobiety. Zowie ją zawsze ciocią, jak niegdyś małem dzieckiem zwał przyszłą żonę stryja.

Jeśli u obcych ciocia taką zjednała sobie miłość, cóż tu powiedzieć o własnej rodzinie. Matka moja dobra i tkliwa, ale jak mówią cokolwiek słaba dla nas, słucha we wszystkiem jej rady. Jeżeli trzyma w ryzie mnie i dwóch moich braciszków, sprawka to cioci, ale nie mamy do niej żalu. Swawolny Kazio, boi się jej jak ognia. Przed dwoma laty kiedy uczyć się nie chciał i tylko zbijał bąki ciocia tyle sprawiła wymową swoją, w tak żywy sposób przedstawiła mu skutki nieuctwa, że z leniucha stał się wzorowym uczniem i na ostatnich popisach otrzymał pierwszy medal. Starszy Wacuś, jął znów przejmować akcent francuzki i niemiłosiernie kaleczył nasz język. Żarty nasze, nic nie pomagały. Otóż ciocia co wieczór brała go na bok, codzień czytała z nim Skargę, Woronicza i Brodzińskiego a kolejno utwory nowych mistrzów słowa i tak go przekonała o piękności mowy naszej, że Wacuś umiłował ją szczerze, pozbył się cudzego akcentu i pożera chciwie polskie książki. Ojciec nasz zimny trochę w obejściu, zatopiony cały w sprawach urzędu swego i w spekulacyach finansowych, wobec cioci ma zawsze coś powiedzieć. Dziadunio zaś z ojcowską dumą patrzy na starszą córkę. „Helena, powtarza on często, niech będzie dla kobiet nauką, jak bez tego co świat nazywa szczęściem, mogą być szczęśliwemi."

Niedziela wczorajsza ubiegła nam nadzwyczaj wesoło. Mama ubrała mnie po raz pierwszy w długą do ziemi sukienkę, białą półbatystową, w rzucik z bławatków polnych, pomieszanych z kłosami. Dziadunio nie mógł się dosyć napatrzyć, mówił że sukienka moja przypomina mu łan pszenicy w jego rodzinnej wiosce, patrzał też na nią pan Stanisław, dziwił się, żem od wczoraj tak bardzo urosła.

— Nie ja to urosłam, ale sukienka moja — rzekłam na to z uśmiechem. Spostrzegł on też bukiecik róż, który przypięłam do stanika, ujęty w pierścionek babuni.

— Co znaczy ten pierścionek? — zagadnął — czy wolno o to spytać?

Odpięłam bukiecik, pochwycił go z rąk moich.

— To upominek dziadunia — rzekłam — a za róże nie podziękowałam jeszcze, przebacz pan nieuwagę moję.

— Skoro je nosisz, panno Janino, to mi starczy za podziękowanie.

To mówiąc chciał wyciągnąć róże z pierścionka.

— O! daj pan pokój — zawołałam — popsujesz mi bukiecik i wyrwałam go z jego ręki.

Na żądanie obecnych odśpiewałam Kalinę. Pan Stanisław stał za fortepianem. Dlaczegoż on tak mi w oczy patrzy? doprawdy ja tego nie lubię.

Major zacierał ręce.

— To mi dopiero piosnka! — wołał z uniesieniem. — Do stu bomb i kartaczów, wolę to niż wszystkie nowomodne trele francuzkie.

— Znam ja jednak piosenkę francuzką — rzekłam nieśmiało — co trafi do serca panu majorowi.

I zaśpiewałam: *Partant pour la Syrie*, cudną melodyę za którą przepadał Napoleon.

— W to mi graj! — wołał uradowany — za waszych Orleanów nic podobnego nie wyśpiewano.

I mrugnął okiem, spoglądając na zięcia.

Nim pan Adam zdobył się na odpowiedź, ciocia Helena podała tomik Pola panu Stanisławowi.

— Odcztaj nam — rzekła — ustęp z pieśni o ziemi naszej.

— Ciociu — przerwałam — pozwól mi jeszcze popisać się z jedną piosenką. I zaśpiewałam melodyjną zwrotkę Chopina.

Gdybym ja była ptaszkiem w ciemnym gaju.

Gdym skończyła, poklask rozległ się o ściany małego saloniku. Spojrzałam na dziadunia, łzy

płynęły po zbladłej jego twarzy. Wstał z krzesła, przystąpił do mnie, wyciągnął ręce, pochwycił mnie w objęcia.

— Kiedyż się nauczyłaś tej piosenki? — zagadnął głęboko wzruszony.

— Dziś rano dziadunieczku, za powrotem z kościoła, znalazłam ją w nutach u cioci.

— Coś się w tem święci! — zawołał major—to jakaś tajemnica między wnuczką a dziadkiem.

— Tak jest, to tajemnica — odparł smutno dziadunio.

Na znak cioci Heleny, pan Stanisław wystąpił, głos jego zabrzmiał harmonijnie:

Gadu gadu, stary dziadu,
Pleć pleciugo, byle długo,
Baju baju, po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju.

Słuchacze byli zachwyceni. Major przyklaskiwał najgłośniej.

Czytanie przerwała herbata. Rozmowa szła ochoczo.

Po herbacie, Wacuś odczytał cudną dumę Bohdana Zaleskiego o Lachu serdecznym na marach. Poczem pan Stanisław wypowiedział z pamięci ustęp z „Pana Tadeusza". Łowy oczarowały wszystkich. Wtem zegar uderzył jedenastą. Na to hasło major zerwał się żywo, powtórzył słowa Pola:

Czas do domu, czas, zabawili nas.

Za majorem powstali drudzy.

Zostaliśmy sami, z duszą dziwnie rozradowaną, w uchu drgały nam, jakby śpiżowe dźwięki.

I wszystkim się zdało.
Że to Wojski gra, a to echo grało!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Zawsze tak bywa przecież — odpowiedziała pokornie pani Janina.

— No tak, tak — rzekł łagodniej trochę — ja wiem, że ty ostatecznie obowiązki swoje rozumiesz.

Pan inżynier zamknął się w swoim gabinecie i pisał listy zapraszające.

Zajęło mu to sporo czasu.

Przedewszystkiem zastanawiał się długo nad kwestyą kogo prosić, a wybór nie był łatwy. Spodziewana sukcesya podniosła skalę wymagań i nie pozwoliła zapraszać tych, dla których obecnie progi domu pana inżyniera były za wysokie.

Wyjątek stanowiła młodzież niezbędna do tańców, ta wszakże zrekrutowana przeważnie ze sfer panu inżynierowi podwładnych, nie wchodziła w rachubę. Tacy tancerze na każdem większem zebraniu liczą się do akcesoryów niezbędnych, jak muzyka, kolacya i wino.

Kilka godzin zeszło panu Adolfowi na układaniu listy zaproszonych, jakoż ukończywszy tę czynność, czuł się niezmiernie spracowanym i pragnął odpocząć.

Nie sądzono było mu wszakże zażyć miłego wywczasu, gdyż wśród kobiet, przeciwko zamierzonemu balowi powstała silna opozycya.

Pani radzczyni oświadczyła, że zanim upłynie uświęcony zwyczajem termin żałoby, za nic w świecie na zabawie się nie pokaże, Stasia była tego samego zdania, a nawet pani Janina, zawsze posłuszna i bierna względem męża, tym razem ośmielona obecnością matki i siostry, postanowiła podnieść głowę i pokazać, że ma swoje zdanie.

W tym celu udała się z biciem serca do gabinetu swego małżonka i po dość długim wstępie, powoli, z ostrożnością wszelką, powiedziała o co idzie, przepraszając, że w pierwszej chwili wyszło jej to jakoś z pamięci.

Pan Adolf oburzył się na hołdowanie staroświeckim przesądom, usiłował dowieść, że żałoba jeszcze ani jednego nieboszczyka nie wskrzesiła, że smutek po stracie drogiej osoby powinien być w sercu i w pamięci, nie zaś w czarnym gałganie, gniewał się, zżymał, lecz bezskutecznie; opór kobiet był nie przełamany.

Postanowiono zatem zamiast zabawy tańcującej urządzić raut z muzyką, deklamacyą, kartami dla panów i wykwintnem przyjęciem.

Ta myśl przez panią radzczynię rzucona, w wykonaniu natrafiała jednak na wiele przeszkód.

Nie łatwo to na prowincyi urządzić jaki taki koncert, bo chociaż amatorów i dyletantów nie braknie, jednak cała mieścina dzieli się na rozmaite kółka i koterye.

Pan Adolf dość musiał się napracować zanim zebrał jaki taki komplet.

Nauczyciel muzyki, stary Niemiec Inemann, ułożył bogaty program i kierował próbami.

Pani Janina z matką tak były zajęte przygotowaniami, że zostawiły Stasi zupełną swobodę, skorzystała też z niej i napisała do brata długi list, w którym spowiadała mu się ze wszystkich wrażeń swoich.

Wreszcie nadszedł dzień urodzin pani Janiny. Już od południa woźni kolejowi, poubierani we fraki, krzątali się w kredensie, a kucharz sprowadzony umyślnie z Warszawy, z powagą i namaszczeniem zabierał się do tworzenia arcydzieł.

Pan inżynier przechadzał się po pokojach, przeglądając czy jeszcze czego nie braknie.

Wieczornym pociągiem nadjechali goście z Warszawy, ma się rozumieć sama śmietanka. Wice dyrektor, dwóch naczelników i jeden akcyonaryusz, tęgi, otyły o wschodnich rysach twarzy.

Pan Adolf wybiegł aż przed dom na spotkanie tak dostojnych gości i z wielką rewerencyą wprowadził ich do salonu, który wkrótce zaczął się napełniać.

Bogactwo ma dziwną moc przyciągającą; niby drobne igiełki do magnesu, lgną ludzie do niego i czoło przed nim schylają. Stasia do niedawna jeszcze biedna lokatorka skromnego mieszkanka na Ogrodowej ulicy, dziś stała się gwiazdą, ku której zwracały się wszystkie spojrzenia.

Wice dyrektor jak mógł panował nad reumatyzmem, który go strasznie dręczył i twarz mu dokuczliwym bólem wykrzywiał, otyły akcyonaryusz opowiadał cuda o swoim synu, kształcącym się za granicą... Bo też to i syn był osobliwy. Piękny jak Apollo, mądry, wykształcony, dowcipny, poszukiwany w towarzystwach, kolosalnie bogaty, mógłby był za granicą zrobić najświetniejszą partyę. Pewien lord angielski koniecznie chciał go mieć swoim zięciem, ale młody człowiek nie mógł przyjąć tego zaszczytu.

— A dlaczego nie mógł? — mówił akcyonaryusz do Stasi — bo nie chciał! a dlaczego nie chciał? bo postanowił sobie, że ożeni się tylko w kraju, tylko z Polką i koniecznie z Warszawianką. On ma taką fanaberyę, on ma nawet przekonanie, że na całym świecie, a przecież on już zna cały świat, nie znajdzie tak miłych i pięknych kobiet jak w Warszawie. I wie pani co, on ma racyę! — dodał patrząc w oczy Stasi — na honor on ma racyę! On się zna! to jest prawdziwy, nieodrodny mój syn! Zna się, bo i ja także się znam i gdybym ja był na jego miejscu, to słowo honoru daję! jabym zaraz potrafił zrobić taki wybór, żeby mi go cały świat powinszował.

Z radością zauważył pan Adolf, że Stasia i na panu vice dyrektorze zrobiła wrażenie. Dygnitarz ten nadskakiwał jej, bawił opowiadaniem o odbytych podróżach, o swojem osamotnieniu w Warszawie i bardzo oględnie dawał do zrozumienia, że mu ta samotność jest nieco przykra.

Pani radzczyni była w siódmem niebie.

Od śmierci męża, od czasu w którym zwinęła dom i z wykwintnego apartamentu przeniosła się na Ogrodową, nie była jeszcze w tak licznem towarzystwie.

Widok wyfraczonych panów i wystrojonych dam, gwar rozmowy, ożywił ją, rozruszał. Zdawało się, że odmłodniała, na bladą jej twarz wybiegły rumieńce, oczy ożywiły się dawno niewidzianym w nich blaskiem.

Przypomniały jej się dawne czasy. Zdaje się, że powracają znowuż, że chwile rozczarowania, goryczy, zmiany losu pierzchnęły i rozwiały niby sen przykry, niby mgła za silniejszym wiatru podmuchem.

Znowuż widzi się na dawnem, nawet na świetniejszem niż dawne stanowisku. Córkę jej młodszą otacza rój młodzieży, wszystkie spojrzenia są na nią zwrócone.

I jakie spojrzenia!

Vice dyrektor wzdycha, bogaty akcyonaryusz o synu swoim wciąż mówi; kilku obywateli ziemskich z historycznemi nazwiskami, wyraźnie ubiega się o względy Stasi.

Mimowoli przychodzą pani radzczyni na myśl owe jakieś lekcye, Warszawa i ubogie mieszkanko na Ogrodowej ulicy. Co za dzieciństwo! to już przeszło na zawsze, przeszło, bezpowrotnie minęło i nigdy, nigdy nie wróci.

Rozlega się dźwięk fortepianu, ma być śpiew.

Wysmukła, o niezwykle pięknych rysach panienka zaczyna śpiewać. Ma głos silny i dźwięczny, włada nim umiejętnie, stary Inneman nauczyciel muzyki promienieje dumą, bo to jego najlepszą uczenica, ale śpiewem nie zachwyca się nikt, oklask dają tylko z grzeczności, bo właściwie czemże się tu zachwycać, wszak to tylko córka zawiadowcy stacyi!

Po niej ma śpiewać panna Stanisława. Wymawiała się wszelkiemi sposobami, lecz na prośby matki i siostry musiała ustąpić. Zaśpiewała jakąś piosenkę ludową, miłym wprawdzie, lecz słabym bardzo głosem. Gdy skończyła, powstała istna burza oklasków. Wszyscy winszowali talentu, otyły akcyonaryusz wyliczył przy tej sposobności wszystkie sławniejsze śpiewaczki europejskie i przy-

znał, że równie pięknego głosu jeszcze w swojem życiu nie słyszał. On! taki mecenas sztuki i znawca! Vice dyrektor powiedział pół komplementu, gdyż kaszel drugą połowę mu przerwał, a trzej wiejscy panowie nie sadząc się na dobór słów, wyrazili swój zachwyt oklaskami, które jak rotowy ogień rozległy się po sali.

Na ustach Stasi ukazał się uśmiech pełen goryczy. Oburzała ją tak wyraźna niesprawiedliwość, a gdy rozpoczął się trzeci numer programu, popis jakiegoś młodego człowieka na wiolonczelli, Stasia wymknęła się z kółka, które ją otaczało i przysiadła się do córki zawiadowcy. Rozmawiała z nią dość długo, pragnąc ciepłemi, serdecznemi słowy wynagrodzić doznaną krzywdę.

Prawie nad ranem goście opuścili dom pana Adolfa, otyły akcyonaryusz pospieszył na kolej aby zdążyć do Warszawy na giełdę; dla pana vice dyrektora zaś przygotowany był zawczasu pokój, w którym miał zanocować. Pan Adolf posunął nawet uprzejmość gospodarza do tego stopnia, że umyślnie zatrzymał obecnego na raucie doktora, aby nastręczyć szanownemu gościowi sposobność zasięgnięcia porady lekarskiej, bez której mąż ten nigdy się nie obywał, przed pójściem na spoczynek.

Pan inżynier znał doskonale obyczaje swoich zwierzchników, stosował się do nich i dobrze na tem wychodził.

Doktor zapisawszy dygnitarzowi jakiś środek na uspokojenie nerwów, ostatni opuścił gościnne progi pana Adolfa...

Pani Janina dozorowała służby sprzątającej srebra, w salonie zaś została tylko pani radzczyni i jej zięć.

— Winszuję ci, Adolfie — rzekła — twój raut był świetny. Towarzystwo bardzo dystyngowane...

— A tak, moja mamo, zresztą u nas tak zawsze bywało, a teraz, naturalnie, tem bardziej. Ale Stasia — dodał po chwili namysłu — zrobiła furorę. Sam vice dyrektor, to nie bagatela, sam vice dyrektor...

— Czy mówił co?

— No, przecież nie mógł powiedzieć wprost co myśli. Dał mi jednak do zrozumienia, że mu u nas czas przeszedł bardzo przyjemnie i że przy pierwszej sposobności znowuż mnie odwiedzi. Uważa mama, przy pierwszej sposobności.

— Istotnie, to jest wyraz znaczący.

— Zwłaszcza, gdy wychodzi z ust człowieka który w departamencie, jest jak u siebie w domu.

— Czy być może?

— Ależ tak... stosunki ogromne, wpływy, znajomości! słowem co tylko zechce, może zrobić.

— Powierzchowność nie bardzo ujmująca.

— Powierzchowność!! jest też o czem mówić! Ma on coś lepszego niż dziesięć najpiękniejszych powierzchowności, bo przedewszystkiem wysokie stanowisko, wpływ, znaczenie, a oprócz tego spory majątek. Dobra ziemskie w Płockiem, udziały w kilku cukrowniach, a podobno i gotówka jest.

Pani radzczyni zamyśliła się.

— Ciekawa jestem — rzekła — jakie wrażenie zrobił na Stasi. Dziś jeszcze zapytam jej o to.

— Nie trzeba, niech mama tego nie robi!

— Dlaczego?

— Lepiej powoli. On tu nocuje, naturalnie, niewywczasowany, spać będzie długo, przed obiadem nie puścimy go ztąd.

— Wielki z ciebie dyplomata, mój Adolfie.

— Nie, lecz mam zwyczaj, iść do celu powoli i konsekwentnie. Zrazilibyśmy Stasię do niego od razu, wspominając o naszych zamiarach, lepiej czasowi rzecz tę pozostawić. On zrobi swoje, zwłaszcza teraz, gdy usunęliśmy się z pod wpływu pana Czesława.

— Powiedz mi Adolfie, co ty cierpisz do tego chłopca?

— Nie lubię entuzyastów, nie lubię tych co zamiast iść wygodnym utartym szlakiem, torują sobie jakieś nowe dróżki, na których najczęściej kark kręcą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Matczyne troski, komedya w czterech aktach, przełożona z francuzkiego, przedstawiona w teatrze Nowy Świat.

Tegoczesne sztuki dramatyczne, bardzo często dziwnym zalecają się układem. Najczystsze farsy tytułują autorzy komedyami, albo zowią niemi dramata, nic w sobie komicznego nie obejmujące. Do takich komedyi prawie zupełnie dramatycznych a nie komicznych należą i „Matczyne troski", z akcyą żywą, treścią ciekawą i co bardzo ważne, przeciw prawdzie niczem niegrzeszące. Jest to więc sztuka zasługująca na bliższe poznanie.

Stary kapitan Hallay ma córkę Martę, którą pragnie wydać za syna swego przyjaciela. Młodzi kochają się szalenie aż do zapomnienia wzajemnych względem siebie obowiązków i kiedy oczekują dnia na ślub przeznaczonego, wybucha wojna, stary kapitan wraz z niedoszłym zięciem idą do wojska, walczą i w bitwie młody narzeczony ginie.

W czasie tych zapasów wojennych, Marta zostaje matką i synka jej Maurycego w wielkiej tajemnicy oddają na wychowanie pewnej kobiecie, mającej chłopczyka w tym samym wieku co wzięty przez nią na mamki Maurycy. Mamka z obu chłopczynami mieszka w młynie, kocha ich zarówno, pielęgnuje, opiekuje się troskliwie, gdy nagle na to szczęśliwe ustronie klęsk wojennych nieznające, napada nieprzyjaciel, młyn pali, rabuje i w zawierusze tej ginie mamka z własnem dzieckiem a synek Marty, Maurycy, pozostał przy życiu, jak to zeznaje stary pasterz Bemy, dziadek rodzony zabitego chłopczyny.

Marta więc zabiera własne dziecię do siebie jako sierotę a swego chrzestnego synka.

Wkrótce potem kapitan Hollay wraca z wojny i to w chwili gdy siedziba jego zniszczona przez wojnę miała zostać przez dłużników sprzedaną. Jeden z sąsiadów Jeremiasz Hautier, kochający Martę oddawna, prosi ojca o jej rękę i jednocześnie spłaca dłużników i tym sposobem ocala mienie zasłużonego żołnierza.

Marta także kocha Jeremiasza a niechcąc taić przed nim swojej przeszłości, pisze do niego list i wyjawia w nim, że chłopczyk chowany przez nią nie jest wychowańcem tylko własnem jej dzieckiem.

Ale Jeremiasz chcąc dać dowód ufności swej dla narzeczonej, listu nawet czytać nie chce i drze go w obecności starego pasterza Bemyego, który pozbierawszy rzucone kawałki schował je troskliwie. Następuje więc ślub młodej pary i chłopczyna pozostaje na ich dalszej opiece.

Po dwudziestu latach pożycia państwo Jeremiaszowie doczekali się córki Blanki, która zakochawszy się w Maurycym jest również przez niego kochana.

Marta wiedząca, że młodzi są dla siebie przyrodniem rodzeństwem, przerażona następstwami truchleje, Jeremiasz przeciwnie, nieświadomy tego stosunku, pragnie między nimi związku małżeńskiego, nie mogąc zrozumieć właściwego powodu niezgodności zdania żony z jego życzeniem. To go dziwi i podsłuchawszy rozmowy życzliwych przyjaciołek, posądzających Martę o zbyt wielką czułość dla chrzestnego syna, obudza w sobie podejrzenie, że żona go zdradza wraz z wychowańcem.

Zrozpaczona Marta, nieumiejąca już sobie radzić, prowadzi Maurycego do swego pokoju i gorącą prośbą namawia do zrzeczenia się ręki swej ukochanej. Jeremiasz pewny, że to schadzka, do wymykającego się tajemniczo młodzieńca pali z dubeltówki.

Na huk strzału, Marta ujrzawszy przez okno niosących Maurycego nieżywego, wyjawia swą tajemnicę mężowi, zostając przez lat dwadzieścia w tem przekonaniu, że mąż wie o wszystkiem, gdyż go własnoręcznym listem o tem zawiadomiła. Ale kula raniła tylko Maurycego; Bemy pokazuje kawałki podartego listu i przedstawia dowody, że w młynie zginął nie wnuk jego tylko syn Marty i że pragnąc wnukowi swemu los zabezpieczyć, zachował dotąd o tem tajemnicę.

Małżeństwo więc przeprasza się, a Bianka wychodzi za Maurycego.

Gra artystów była bardzo dobra, ze starannością godną uznania.

J. G.

ŚWIETNE MAŁŻEŃSTWO.

PRZEZ

Ludwika Halévy.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

25 Listopada 1882 r., godzina 4 po południu.

Dziś o dziesiątej z rana miałam właśnie grać dwudziestą piątą sonatę Bethowena, gdy drzwi mojego pokoju otworzyły się i na progu ukazała się mama. Oniemiałam z podziwu, bo niedość że mama wstała tak wcześnie z łóżka, ale była już zupełnie ubraną. Co ja mówię ubrana, była nawet w okryciu i kapeluszu.

Nie pamiętam czy kiedy w życiu widziałam mamę o tej godzinie inaczej jak w łóżku. Mama nie może nawet nigdy zdążyć w niedzielę na mszę do kościoła św. Klotyldy, chociaż ta msza odbywa się o pierwszej w południe.

Z tego powodu mówiła kiedyś na wpół żartem do szanownego księdza Poantal:

— Religia nasza byłaby doskonałością, gdyby tylko ksiądz dobrodziej zechciał mszę odprawiać o drugiej godzinie... Koncerta konserwatoryum opóźniłyby się trochę i jakieżby to w zimie były rozkoszne niedziele.

Zdumiona zawołałam więc:

— Czy mama wychodzi z domu?

— Nie, wracam już z miasta.

— Wracasz, mamo?

— Tak, miałam mały do załatwienia sprawunek Poszłam dobierać włóczki takiego jednak błękitnego koloru nie mogę znaleźć nigdzie.

— Lecz dobrałaś przecie, mamo?

— Nie, nie... ale obiecano mi go wyszukać i przysłać do domu jutro lub pojutrze najdalej...

Tu mama tak się jakoś poplątała w opowiadaniu, że widziałam, iż coś ukrywa przedemną. Nareszcie, po długich omówieniach, oznajmiła mi, że jesteśmy proszeni wieczorem do państwa Mercerey. Miało to być zebranie muzykalne... Wprawdzie mama wiedziała już o tem od trzech dni, ale jakoś zapomniała mi powiedzieć.

Słuchałam udając, że wierzę w to wszystko; w głębi duszy jednak mówiłam sobie:

— Co to wszystko znaczy? To ranne wstanie, to dobieranie włóczki i ten muzykalny wieczorek u państwa Mercerey? O! mama jakoś niejasno się tłomaczy!

Nie zaprzeczyłam jednak ani jednem słówkiem. Skończywszy przemowę, mama wyszedłszy nibyto naprawdę, zupełnie jak w teatrze, cofnęła się znów do mojego pokoju, mówiąc obojętnie:

— Jaką suknię włożysz dziś wieczorem?

— Nie pomyślałam o tem, mateczko... byle którą... może popielatą, niebieską, różową...

— Nie, nie, nie różową... weź lepiej niebieską... onegdaj u ciotki Klary wyglądałaś bardzo dobrze w twej błękitnej sukience... Różowej sukni ojciec nie lubi a że ma dziś iść z nami do państwa Mercerey...

— Jakto, ojciec także pójdzie z nami?

— No, tak.

— I ojciec wie, że to ma być muzykalne zebranie?

— Dlaczegóżby miał nie wiedzieć?

— Wie i pójdzie z nami? — powtórzyłam zdziwiona.

— No i cóż w tem tak dziwnego?

— Nic mateczko, nic wcale.

Tym razem mama odeszła już na dobre. Zostawszy samą powiedziałam sobie zaraz:

— Chodzi tu z pewnością o zamążpójście. Chcą mnie komuś pokazać i dlatego ojciec z nami idzie.

Biedny ojciec, jakże go żałuję; mama zniewoliła go, aby poszedł na muzykalny wieczorek; to już chyba świat przewróci się do góry nogami. Ojciec bowiem wieczorem lubi tylko trzy rzeczy: klub, operę w chwili gdy tańczą balet lub małe teatrzyki w których się uśmiać i ubawić można, a gdzie my, młode panny nie bywamy wcale. Wynagrodzę ja to sobie jednak jak za mąż pójdę.

Otóż jestem pewna, że to jakieś z góry ułożone spotkanie; prawdopodobnie świetna partya, gdyż mama od samego rana jest dziś w tak szczególnem usposobieniu... Prawie nie jadła śniadania, nie może dosiedzieć na jednem miejscu; napisała do pani Loisel, prosząc ją aby przyszła sama uczesać mnie. Następnie obejrzała moją niebieską suknię i przypatruje się mojej osobie ze szczególniejszą uwagą... Była w rozpaczy ujrzawszy krostkę na mojej twarzy.

— Co ty tu masz? — zawołała.

— Gdzie, mamo?

— Na samym końcu nosa.

— Cóż tam jest?

— Jakaś okropna kresa.

— Ah! mój Boże!

Przestraszona pobiegłam do lustra i odetchnęłam, zobaczywszy, że to nic wcale. Bob zadrapał mnie łapką i pozostał po tej pieszczocie maleńki różowy znaczek. Do wieczoru już i śladu nie będzie.

W oczach mamy ślad ten przybiera rozmiary strasznej blizny. Nigdy jeszcze koniec mojego nosa nie był przedmiotem tak czułej troskliwości. Mama zmusiła mnie, że pół dnia przesiedziałam w fotelu, przykładając kompresy na wyżej wzmiankowany nos mój.

Biedna mama! ona tak pragnie wydać mnie zamąż. I nic w tem dziwnego! Mama była kiedyś bardzo piękną i dziś jeszcze wieczorem przy świetle wygląda nader efektownie; nie jest to więc dla niej bardzo przyjemną rzeczą wodzić za sobą córkę na wydaniu.

Mnie to również martwi, czuję że mama starszą się wydaje, urządzam się też w ten sposób, że skoro wchodzimy w towarzystwo oddalam się od niej i spotykamy się znów dopiero przy wyjściu. Nie chciałybyśmy przeszkadzać sobie wzajemnie.

Zresztą mama jest dla mnie bardzo dobrą, są przecież i takie matki, które gwałtem wydają córki zamąż, aby tylko prędzej pozbyć się ich z domu; moja matka nie zrobiłaby czego podobnego.

Ona wie, że nie postąpiłabym lekkomyślnie. Małżeństwo to nie bagatela; idzie tu o całe życie, omyłka byłaby straszną w tym razie. Ja chcę pójść zamąż rozsądnie; nie potrafiłabym się zakochać od pierwszego wejrzenia w jakim ładnym chłopcu, nie umiałabym powiedzieć mamie tak nagle: „Mamo, oto jest ten którego kocham i chcę być jego żoną." Nie, nie można być tak nieoględną.

Przeszłej wiosny odmówiłam pięciu konkurentom dlatego, że nie odpowiadali w zupełności wymaganym przezemnie warunkom.

Bywając w świecie tej zimy, pokażę się równie spokojną i przezorną jak dotychczas. Nie mam jeszcze lat dwudziestu, mogę więc poczekać na męża.

Dziś jestem bardzo zadowolona, wzruszenie mamy nie udzieliło mi się bynajmniej i najspokojniej w świecie porządkuję mój dziennik.

Skoro skończyłam lat ośmnaście na pierwszej kartce tej książki, starannie na klucz zamkniętej, napisałam te proste słowa:

Moje małżeństwo.

I pogrzebałam tam już pięciu konkurentów! Jestem pewna, że dziś wieczór przyszła kolej na szóstego kandydata. Czyby ten miał zostać pokornym i posłusznym panem i mężem moim? Niechże się przygotuje na surowy i nieubłagany egzamin.

Ja tam nie stracę głowy jak mama.

26 Listopada, godzina 4.

Nie omyliłam się, był to w istocie szósty kandydat!...

Lecz idźmy porządkiem i opowiedzmy kolejno wszystkie wielkie i małe zdarzenia wczorajszego wieczoru.

Po obiedzie poszłam się ubierać, muszę się przyznać, że robiłam to z większem niż zazwyczaj staraniem.

W półtorej godziny byłam zaledwie gotową. Schodząc, zastałam wszystkie drzwi otwarte, a gdy zbliżyłam się do drzwi małego saloniku, usłyszałam jak ojciec mówił do mamy.

— Uważasz więc, że to jest potrzebne?

— Bezwarunkowo potrzebne... Sam wiesz, że twoja obecność jest tam niezbędną.

Pokusa była zbyt silną, zatrzymałam się wstrzymując oddech w piersiach... Nie byłamże potrosze w swojem prawie? niedyskrecya więc moja była poniekąd usprawiedliwioną?

— Dlaczego obecność moja jest niezbędną — odparł ojciec. — Ja znam tego młodego człowieka... spotykałem go często w klubie... grałem z nim nawet w wista... gra nieźle... Zobaczył wczoraj Irenę na koniu i zachwycił się nią odrazu. Wszystko bardzo to piękne, lecz po co ja się mam w to mieszać, to twoja i Ireny sprawa.

— Upewniam cię, mój drogi, że sama przyzwoitość nakazuje.

— No dobrze... dobrze... już pójdę, pójdę.

Tu nastała cisza a ja ciekawie oczekująca nazwiska, nie dowiedziałam się niczego. Muszę się nawet przyznać, że serce żywiej uderzało mi w piersiach a ponieważ byłam mocno ściśnięta stanikiem, czułam wyraźnie jego przyspieszone bicie.

Po kilku chwilach weszłam do pokoju najspokojniej w świecie, jakbym nic a nic nie słyszała. Rodzice widocznie chcieli ukryć prawdę przedemną; musiałam zatem utrzymać ich w błędzie.

To jednak co usłyszałam, było dla mnie rzeczą wielkiej wagi. Ów ktoś był członkiem Jockey klubu. Nie moja w tem wina, że przywiązuję do tego zbyt wielkie znaczenie, przyjęłam to od ojca, dla niego nie istnieje ten, kto nie jest członkiem Jockey klubu, po za klubem kończy się dla ojca świat cały. Nic więc dziwnego, że wychowana w takich przekonaniach, chcę aby mój mąż był członkiem Jockey klubu.

Wsiedliśmy do powozu, ojciec zachmurzony i milczący, mama niespokojna i wzruszona, ja napozór obojętna, lecz w głębi duszy mocno zaciekawiona.

Dlaczego ta tajemnica? Ten pan widział mnie wczoraj jadącą konno a że mu się podobałam, to cóż w tem dziwnego? Lecz pytanie czy to on sam żądał widzieć mnie wieczorem przy świetle w wyciętej sukni.

Wszystko to wydało mi się podejrzane. Czyż nie należało pierwej mnie pozwolić się przypatrzeć temu młodemu człowiekowi, nie mnie ukazywać jemu pod rozmaitemi postaciami: to konno, to w salonie?

Było już wpół do jedenastej skoro przyjechaliśmy do państwa Mercerey... W samej rzeczy był to wieczorek muzykalny, biedny ojciec! W dodatku program składał się z samych utworów klasycznych tak nieprzystępnych dla tych, którzy nie są obeznani z tego rodzaju muzyką. Grano właśnie jakiś kwartet.

W salonie zastaliśmy zaledwie ze dwadzieścia osób. Zabawny to był wieczór, znać było w urządzeniu pośpiech i nieprzygotowanie. Zaproszeni nie znali się wzajemnie, był między niemi domowy doktor, budowniczy, notaryusz i kilka innych osób zaproszonych widocznie do zapełnienia salonu.

Nadzwyczaj bo też trudno zebrać eleganckie towarzystwo w Listopadzie, gdy mało jeszcze kto jest w Paryżu. Trzeba się zadawalniać ludźmi, którychby może na wielkie nie zaproszono zebrania.

Trafiliśmy właśnie na jakieś andante sonaty, mogliśmy więc wejść cicho niepostrzeżenie. Ja usiadłam sobie skromnie w kąciku i ztamtąd szybkim spojrzeniem obrzuciłam pole walki, lecz spostrzegłam tylko starych lub podstarzałych jegomościów, z których żaden nie mógł być domniemanym moim konkurentem.

Dopiero po niejakiej chwili ujrzałam w przeciwległym rogu salonu kilku młodych ludzi, nie ulegało zatem wątpliwości, że tam krył się mój nieprzyjaciel.

Ale który nim był? to pytanie trudne do rozwiązania. To zapewne ten, który mi się będzie najbardziej przypatrywał, powiedziałam sobie w duchu. I skromnie spuściwszy oczy przybrałam minkę dobrze wychowanej panienki, która z rozkoszą oddaje się wzniosłej rozrywce słuchania z namaszczeniem sonaty Haydna.

Po chwili podniosłam wzrok i spojrzałam w stronę młodych ludzi. Lecz zmieszana jeszcze prędzej spuściłam oczy, gdyż wszyscy czterej przypatrywali mi się z jednakową ciekawością... po chwili powtórzyłam mój manewr i przekonałam się, że cztery pary oczu spoglądają na mnie bez ustanku.

O ile mi się zdaje, godną byłam zwrócić ich uwagę. Nie jestem wcale brzydka, a przytem pobyt na wsi posłużył mi w tym roku wybornie. Przytyłam lecz nie za wiele, tylko w miarę. Wirginia moja pokojówka, powiedziała mi wczoraj wieczór:

— Panienka ani się domyśla, ile zyskała tego lata.

Wirginia myliła się, panienka doskonale o tem wiedziała. My zawsze pierwsze dowiadujemy się o tych rzeczach.

Nareszcie kwartet skończył się, nastąpiło małe zamieszanie, ja dręczona ciekawością, skorzystałam z tego i odciągając mamę na bok rzekłam:

— Błagam cię mamo, pokaż mi go coprędzej, muzyka rozpocznie się na nowo.

— To ten wysoki brunet co stoi na lewo pod obrazem Meissoniera... Nie patrzże się na niego, gdyż on ci się teraz przypatruje...

— Ależ oni wszyscy mi się przypatrują.

— On się teraz nie patrzy... zbliża się do ojca... zaczyna z nim mówić.

— No, dosyć przystojny...

— Ja myślę, że może się podobać.

— Trochę ma za zbyt szerokie usta.

— Nie uważam tego.

— Ależ tak, mamo... całość jednak ujdzie.

— Ah! gdybyś ty wiedziała... Za nim przemawia wszystko: urodzenie, majątek... jednem słowem to traf szczęśliwy i niespodziewany.

— Jakże on się nazywa?

— Hrabia de Martelle-Simieuse... Nie patrzże się, bo on tu znów spogląda. Ci hrabiowie Martelle-Simieuse są spokrewnieni z rodziną Landry-Simieuse i Martelle-Jonzac... Widzisz ci Martelle-Simieuse...

Tu jeden z grających dał znak i mama zmuszoną była przerwać swoje opowiadanie. Grano teraz Mozarta. Przyznam się, że niewiele słyszałam muzyki, zajęta całkowicie mojemi myślami. Musi to być co się nazywa świetna partya, skoro mama jest tak wzruszona.

Hrabina de Martelle-Simieuse!... Dwa nazwiska! To było mojem marzeniem mieć dwa nazwiska! Wolałabym naturalnie zostać wielką księżną, ale wielkich książąt jest tak mało, zaledwo dwudziestu dwóch, że niedorzecznością byłoby karmić się podobną nadzieją... Zgadzam się więc w ostateczności i na tytuł hrabiny!

Zresztą, nazwisko nie do odrzucenia, powtarzałam je sobie w myśli... nie słyszałam wcale kwartetu, altówka, wiolonczela i skrzypce, powtarzały mi jedną tylko zwrotkę: Pani hrabina de Martelle-Simieuse.

Nazwisko, to rzecz niezmiernie ważna, a on posiada tytuł niezaprzeczenie prawdziwy, ja zaś wymagam koniecznie tytułu. Za nic w świecie nie wyszłabym zamąż za człowieka mającego mieszczańskie, pospolite nazwisko, choćby mi ofiarował skarby z tysiąca i jednej nocy. Lecz być hrabiną de Martelle-Simieuse, to co innego.

Nastąpiła znowu przerwa w muzyce. Ojciec przysunął się do mamy i ja także. Mama coraz bardziej wzruszona, rzekła mi:

— Wszystko idzie prędzej niż się można było tego spodziewać... Hrabia prosił, aby mi go przedstawiono a ojciec zauważył, że głos jego drżał lekko. Wszak prawda, mój przyjacielu.

— W istocie — odparł ojciec — głos miał nieco drżący.

— Ojciec przyprowadzi go do mnie. Jeśli ci się nie podoba odejdź; jeśli przeciwnie, zostań obok mnie.

— Zostanę przy tobie, mamo, lecz pozostawisz mi przecie czas do namysłu. Przyrzekłaś nie naglić mnie nigdy.

— Masz zupełną wolność wyboru; lecz wiedz o tem, że to partya nie do odrzucenia... matka jego była z domu Précigny-Laroche, słyszysz Précigny-Laroche.

— Słyszę, mamo, słyszę.

— To starodawne nazwisko.

— Niech się mama uspokoi, gdyż wszyscy patrzą na nas.

Po chwili ojciec przedstawił go nam i rozmawialiśmy kilka minut w przerwie pomiędzy muzyką.

On widocznie był bardzo zmieszany, pomimo, że z daleka tak śmiało mi się przypatrywał. Ja sama kierowałam rozmową i z nadzwyczajną zręcznością potrafiłam dowiedzieć się w tak krótkim czasie tego o co mi chodziło najbardziej.

On lubi nadewszystko Paryż... tak jak ja... Nudzi się na wsi... tak jak ja... bawi się w Trouville... tak jak ja. Nie lubi strzelać do celu, bo też to niegodziwa rozrywka, która zabiera nam na cały dzień mężów i przyjaciół a gdy wracają do domu są tak znużeni, że nawet z nimi pogawędzić nie można.

Za to lubi bardzo polowanie... tak jak ja... no bo przynajmniej w polowaniu, my kobiety możemy brać udział.

Dzierżawi las rządowy o dziesięć mil od Paryża; można więc wyjechać o wpół do dziewiątej z rana i to z najwygodniejszego banhofu a wrócić jeszcze na teatr lub bal do stolicy.

Oprócz tego jest zupełnie wolny, nie skrępowany żadnemi obowiązkami pokrewieństwa, nie ma ani ojca ani matki, tylko ciotkę bardzo starą, bezdzietną i bogatą. Jest zatem głową rodziny.

Posiada rodzinny majątek w Wandei. Rzecz prosta, że nie mam ochoty zagrzebać się na wsi, lecz to w dobrym tonie mieć majątek ziemski.

Dowiedziałam się tego w przeciągu kwadransa może, gdyż pani de Mercerey widząc, że rozmawiamy oboje, bo rodzice nie mieszali się prawie do rozmowy, umiała przedłużyć zręcznie przerwę między dwoma kwartetami.

Mama dziś rano unosiła się nad moim spokojem i zimną krwią. O! bo ja jestem praktyczna osoba. chcę sobie zapewnić życie niezależne i wygodne, nie rozumiem bez tego szczęścia ani miłości.

Co to za szczęście naprzykład nie mieć teściowej, ileż to unika się nieprzyjemności i zatargów Zależy się tylko jedynie od męża.

Dlatego to nie chciałam przeszłej wiosny przyjąć oświadczyn margrabiego de Marillac, pomimo, że był milutki, wesoły i dowcipny i byłabym go z pewnością serdecznie pokochała... nawet zajęłam się już nim trochę, lecz ujrzałam jego matkę i powiedziałam sobie: basta.

Okropna bo też była ta mamunia surowa, pochmurna dewotka. Zażądałaby była zapewnie, aby jej synowa większą część roku przepędzała z nią w głębi Bretanii. Rozumiem, że to jest wielka oszczędność, ale nie chcę być tak zależną! Zaledwie wydostawszy się z niewoli panieńskiej, znowu popaść w co podobnego... Na cóż by mi się przydało zamążpójście?

Nie wiem już doprawdy na czem stanęłam... aha już wiem... muzyka zaczęła się na nowo, grano teraz jakieś krótkie walce Bethowena a po każdym walcu była mała pauza.

W pierwszej pauzie mama rzekła mi:

— No jakież uczynił na tobie wrażenie? dobre?

— Nie złe.

— Więc ojciec może go zaprosić na obiad?

— O! po cóż tak naglić, moja mamo!

— Musimy się spieszyć.

— I dlaczego, mamo?

— Cicho bo grać zaczynają.

Byłam mocno zaintrygowana. Dlaczego ten pośpiech, czyżby chciano mnie wypchnąć jak najprędzej z domu?... Nareszcie, dzięki Bogu, nowa przerwa w muzyce, pytam więc mamy:

— Mamo, wytłomacz mi.

— Nie mogę ci teraz nic wytłomaczyć, wymagałoby to zbyt długiego czasu; w domu opowiem ci wszystko. Lecz trzeba koniecznie zaprosić go dziś wieczorem. Mów więc: tak czy nie?

— Widzę, że mama mnie przymusza.

— Ależ bynajmniej, możesz odmówić jeśli ci się nie podoba.

— No, zgoda.

— Zatem na obiad, we czwartek?

— Niech i tak będzie.

Poczem mama szepnęła nieznacznie ojcu:

— Zaproś go na obiad.

— Na kiedy?

— Na czwartek.

— Dobrze.

Ojciec, którego nigdy nie widziałam w roli poważnego papy, był tego dnia wzorem łagodności i poświęcenia. Być może, iż muzyka rozstroiła go do tego stopnia, że sam nie wiedział dobrze co robi. Byłam trochę niespokojna, aby ojciec nie omylił się i nie zaprosił innego. Lecz nie stało się nic podobnego i zaproszenie hrabia przyjął bardzo mile.

Skoro wsiedliśmy do powozu, zawołałam z żywością.

— Widzę mamo, że usychasz z pragnienia, aby mnie wydać zamąż za tego jegomościa.

— O! nie przeczę temu bynajmniej.

— Powiedzże mi więc...

— Pozwólże mi trochę odpocząć, jestem tak znużona, w domu powiem ci wszystko.

W godzinę wiedziałam już całą historyę. Dziwne, dziwne doprawdy zdarzenie! Wczoraj o ósmej rano mama odebrała od pani Mercerey bilecik następującej treści:

„Jestem chora na migrenę i nie mogę wyjść z domu, przyjdź pani natychmiast, chodzi tu bowiem o szczęście Ireny.”

Mama pojechała natychmiast, nie mogę jednak pisać dłużej, gdyż słyszę, że bije ósma, czas już na obiad.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Wieści chodzą po Warszawie, że grono miłośniczek muzyki, powzięło myśl uorganizowania podwójnego kwartetu smyczkowego, celem zbierania się peryodycznego na wspólną muzykę.

Mają do nich należyć same tylko panie, a kierownictwo obejmie jedna z pań znana z występów na cele dobroczynne.

Zabawa to prześliczna, mogąca stać się i bardzo pożyteczną. Pokojowa muzyka kompozycyi cudownej piękności, posiada wiele, a na jej utworzenie składały się talenta i geniusze całego świata. Ogółowi naszemu jednak te arcydzieła mało są znane, ileż więc dałoby się z nich urządzić koncertów na cele dobroczynne, od czego panie amatorki z pewnościąby się nie wymówiły.

Powiadają także, o projekcie zawiązania stowarzyszenia warszawskich gitarzystów, a choć to instrument za bardzo pokojowy, w zbiorowych jednak występach może się podobać.

Jeżeli projekta te przyjdą do skutku, to z czasem amatorki kwartetów i gitarzyści w połączeniu ze śpiewakami Lutni, darzyć nas będą koncertami, których Warszawie niejeden pozazdrości.

Drobny przemysł w Królestwie Polskim nabiera coraz większego znaczenia i zwraca na siebie uwagę nietylko Cesarstwa ale i zagranicy.

Towarzystwo popierania Przemysłu i Handlu, pragnąc w tym kierunku tak pomyślnym szczególniej dla ludności rolniczej, rozwinąć działalność, przedsięwzięło starania o wybadanie stanu w jakim obecnie rzeczywiście przemysł ten znajduje się.

W tym celu wyznaczona delegacya ułożyła kwestyonaryusz odpowiedni i rozesłała go razem z odezwami, spodziewając się, że nadesłane odpowiedzi dadzą dostateczny materyał do zobrazowania dzisiejszego stanu tej gałęzi pracy narodowej.

Ale niestety! na tysiąc przeszło rozesłanych odezw, delegacya dostała zaledwie 128 odpowiedzi, a i z tych połowa dostarczała bardzo niewystarczających informacyi.

Z tego jednak co się zebrało, wywnioskować można, że są miejscowości, gdzie przemysł ludowy żyje, ma materyał do rozwoju i pomimo braku wszelkiej opieki, boryka się wytrwale bądź z konkurencyą fabryczną, bądź z przemytniczą. Dział tkactwa np. wskazuje zwiększenie się jego produkcyi w powiatach: Nowomińskim, Piotrkowskim, Noworadomskim, Łaskim, Zamoyskim, Chełmskim, Węgrowskim.

Powroźnictwo rozwija się w Pilicy i w Skaryszewie. Wyrób obuwia zwiększa się w powiecie Nieszawskim, Nowomińskim, Sieradzkim, Olkuskim i Węgrowskim; kożusznictwo w osadach wiejskich powiatów Węgrowskiego i Sokołowskiego. Wyroby z drzewa idą coraz lepiej w powiecie Nieszawskim, Sieradzkim, Łaskim, w okolicach Kielc, Węgrowa i Włodawy, metalowe w pow. Sieradzkim i Będzińskim, garncarstwo w Węgrowskim.

Więcej atoli, niż informacyi o teraźniejszym stanie przemysłu, badanie dostarczyło wskazówek o środkach, mogących rozwinąć przemysł domowy.

W celu zatem uczenia ludu przemysłu drobnego, proponowane są: szkoły wiejskie elementarne z nauką niektórych rzemiosł, zaprowadzenie w seminaryach nauczycielskich wykłady rzemiosł i zakupienie dla każdej gminy wspólnego ręcznego warsztatu mechanicznego do przędzenia.

Środki zachęcające wskazuje badanie: w wystawach powiatowych, w agenturach do sprzedaży wyrobów przemysłu ludowego, w założeniu wyłącznego Towarzystwa zachęty do rozwoju rzeczonego przemysłu. Nakoniec jako środki pomocnicze wymienione są: dobrze uorganizowane kasy pożyczkowe, nagrody za uprawę wierzby, sprzedaż na raty narzędzi, warsztatów i ulów, oraz zakładanie kółek włościańskich.

Tyle wiadomości dostarczyło badanie.

Ciekawą podróż odbył cyklista p. W. udając się welocypedem z Radomia do wsi Mikułowic, leżącej przy trakcie z Ćmielowa do Ożarowa. Wyjechał z Radomia około południa, dotarł tego dnia do Brodów, napotykając trudności z powodu nierównej drogi i zbytecznej w wielu miejscach pochyłości.

W Iłży, jakiś wędrowny grajek zaproponował mu współkę w celu urządzenia przedstawienia akrobatycznego, uważając go za sztukmistrza, zapewne z przyczyny oryginalnego stroju.

Na drugi dzień, dość wcześnie już p. W. był w Mikułowicach, prowadząc z sobą welocyped, ponieważ droga boczna piaszczysta nie pozwalała jechać.

Mieszkańcy wioski wzięli cyklistę za szlifierza i zaczęli mu znosić zewsząd: sierpy i kosy do ostrzenia. Po objaśnieniu, że przyrząd służy do jazdy, jakiś żydek sadownik zaczął się wypytywać, co jemu płacą za jazdę.

Gdy go objaśniono, że nic i gdy się dowiedział ile welocyped kosztuje, osądził iż dogodniej zawsze kupić konia, bo go można odprzedać, a na welocyped niełatwo o amatora.

Doktor Czerniański, sekundaryusz szpitala powszechnego w Wiedniu, przedstawił tutejszemu Towarzystwu lekarskiemu ulepszoną przez siebie pompę żołądkową.

Dotychczas używano dla przemywania żołądka w celach leczniczych przyrządów, polegających na zasadzie pompy ssącej albo też na zasadzie lewara.

Ponieważ te przyrządy nie są praktyczne i niebezpieczne, przeto d-r C. poleca swój przyrząd aspiracyjny, który przewyższa swoją praktycznością będące dotychczas w użyciu.

Za pomocą pompki d-ra C. można dokładniej badać zawartość żołądka i wydobywać gazy do rozbioru chemicznego.

Do sztucznego lub przymusowanego odżywiania przyrząd ten także się nadaje.

Zawsze to samo.

„Pomimo nieprzyjaznych ciągle tyrad przeciw Niemcom, bez rodaków ks. Bismarka obejść się nie możemy.

Świeży tego przykład dał jeden z magnatów, sprowadzając do budowy pałacu swego, całą zgraję rzemieślników z nad Sprei.

Wspaniały ten gmach, dziś na ukończeniu, poszczycić się tem może, iż nietylko nie dotknęła go ręka swojskiego rzemieślnika, lecz nawet cały materyał do budowy użyty, nie pochodził z kraju.

Wszystko, nie wyłączając nawet drzewa budulcowego, zostało sprowadzone z Królewca.

A jednak chyba litewskie lasy dostarczyły drzewa w dobrym gatunku i w dostatecznej obfitości!

Wszakże nawet sam właściciel pałacu posiada obszerne lasy i puszcze.”

Jeden z mieszkańców Warszawy p. M. opracował projekt urządzenia kasy przezorności dla sług.

Zasada, na jakiej pan M. opracował swój projekt jest bardzo racyonalną, opiera się bowiem przeważnie na zasadzie samopomocy.

Za bardzo niewielką składkę miesięczną, miałyby tym sposobem dotknięte wypadkami losowemi sługi, zapewnioną pomoc materyalną.

Oprócz funduszu zbieranego ze składek, kasa ta zasilałaby się także dobrowolnemi ofiarami ze strony służbodawców.

Cały ten projekt bardzo piękny, lecz... jakżeż daleko do jego urzeczywistnienia!

Rodaczka nasza pani Bławacka, znana ze swoich studyów na polu teozofii, od 1-go Lipca zaczęła wydawać w Londynie nowe czasopismo p. t. „Lucyper”.

Organ ten poświęcony w całości studyom nad duchem ciemności, rzeczywiście może być bardzo ciekawy. Być może, że w kluby wzięty broić przestanie.

Królowa portugalska, Marya Pia, założyła w Lizbonie szkołę garncarstwa dla kobiet. Do uczelni zapisało się 300 panien.

Czyby nie dało się czegoś podobnego u nas urządzić.

Kolonia polska w Białogrodzie krząta się około założenia czytelni. Na czele stowarzyszenia, które ma utworzyć instytucyę dobroczynną, stoi ks. Wieruszajtys.

Książki będą zakupione w Krakowie.

Muszki. P. Alfred Franklin, autor rozprawy o dawnych zwyczajach francuzkich, mówi, iż o ile może mniemać, odkrył w starem jednem dziele źródło, skąd pochodzi moda noszenia muszek na twarzy.

W końcu XVI wieku leczono na ból zębów, przykładając na skroni małe plasterki z materyi czarnej lub aksamitu.

Zalotne damy spostrzegły wkrótce, iż czarny kolor podnosi bladość twarzy i że pomimo, iż lekarstwo nie należy do cudownych, ma władzę odświeżania zwiędłej choćby cery.

W ten sposób zrodziła się moda muszek.

Za Ludwika XV każda dama miała w kieszeni złote, srebrne lub emaliowane pudełeczko, w którem chowała muszki, lusterko i róż.

Muszki przybierały rozmaite formy: okrągłą, owalną lub kwadratową, czasami nawet wycinano gwiazdeczki, księżyc, serce lub rozmaite zwierzęta. Jakiś czas moda kazała nosić dużą okrągłą muszkę na skroni, którą czasami przyozdabiano małemi brylancikami. Rewolucya obaliła tę śmieszną modę, ale kto wie, czy zalotność kobiet nie wprowadzi jej znowu na widownię świata?

Sentencya Bismarka. Pewna młoda miss, zapalona wielbicielka żelaznego księcia, posłała mu album swoje z gorącą prośbą, iżby tam co napisał. Oświadczyła, że będzie to szczęściem na całe jej życie, jeżeli posiędzie rękopis słynnego męża stanu.

Na taką czułą odezwę Bismark napisał na pierwszej kartce albumu następujące słowa:

„Wystrzegaj się zawsze, moje dziecię, budowania zamków na lodzie. Te gmachy najłatwiej jest zbudować, ale trudniej zburzyć".

* * *

Z życia aktorskiego. Słynny tragik angielski, Garrik, zaskoczony pewnego razu na przechadzce gwałtownym deszczem, poszukał schronienia w najbliższej szynkowni.

Zaledwie się tam pojawił, podnosi się z kąta jakiś obdarty człowiek i zbliżając się do tragika, mówi:

— A cóż kolega tu porabiasz?

— Nazywasz mnie pan kolegą — szepcze Garrik — jesteś więc także aktorem?

— Naturalnie! grałem z panem co najmniej jakie sto razy.

— Wybacz pan, że sobie nie mogę przypomnieć... W jakiej to było sztuce?

— W Hamlecie, panie, w Hamlecie... grałem koguta, zapowiadającego północ.

* * *

Obyczaje parlamentarne angielskie różnią się bardzo od form przyjętych na stałym lądzie. Dowodem tego jest między innemi zdarzenie, które w tych dniach było przedmiotem rozpraw w izbie niższej. Rzecz działa się w przedsionku izby. Dep. Lang spotyka znanego z ekcentryczności dep. Tannera, i zapytuje go, jakim sposobem się to stało, że przy czytaniu listy podczas głosowania imiennego, jego nazwisko zostało pominiętem. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Tanner rzecze:

— Pan jesteś torysem?

— Tak—potwierdza Lang.

— Jeżeli tak, to proszę ze mną nie rozmawiać. Już dawno wam przeklętym torysom powiedziałem, żebyście się do mnie nie odzywali. Macie swoją obmierzłą gromadę to z nią gadajcie.

— Przepraszam—odrzekł Lang — nie wiedziałem iż pan nie chcesz, żeby do pana mówili.

— Nie chcę, i radzę panu zamknąć swoją nieznośną gębę, i nie wystawiać się na głupca.

Lang odszedł a Tanner rzucał za nim jeszcze jakieś przekleństwa. Na skutek tego zajścia, którego następstwem na stałym lądzie byłby koniecznie pojedynek, dep. Lang wniósł zażalenie do prezesa izby, który wykluczył dep. Tannera na miesiąc, od udziału w obradach izby.

* * *

Dyplomata. Dyalog w biurze. Szef: — Miałem się pana o coś zapytać, panie N., lecz zapomniałem.

Kancelista: — Pan radzca zapewne chciał zapytać, jakim sposobem, mając tak liczną rodzinę, mogę wyżyć z tak szczupłej pensyi.

* * *

Alzatczyk kąpiący się w Renie, uniesiony prądem wody, woła o ratunek. Dwaj żandarmi pruscy patrzą na to i słuchają obojętnie.

Dobywając ostatka sił, tonący zawołał:

— Vive la France!

Natychmiast żandarmi rzucili się do wody, uratowali tonącego i... zaprowadzili go do więzienia... Będzie skazany niewątpliwie co najmniej na grzywny.

* * *

Letnie fraki nadeszłe w tych dniach z Paryża z letnich materyałów, stanowią ostatni wyraz mody męzkiej.

Fraki te, blado-żółte i czerwone, są odrobione z jedwabiu dość szorstkiego i wcale nie lśniącego.

Mają one służyć do wszelkich wizyt wieczornych i zabaw w czasie upałów.

Kamizelka i dalsze ubranie winny być białe.

Fraki przysłane do Warszawy, mimo wysokiej ceny po 100 rs, za sztukę, zostały już sprzedane, a magazyn krawiecki, wprowadzający tę innowacyę w naszem mieście, otrzymał już sporo zamówień.

Pokazuje się, że i w Paryżu głupców nie brak a u nas ich naśladowców.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu W. Wierszyk do druku nieodpowiedni. Autor widocznie młody, pełen młodzieńczego zapału, lubi widać czytać utwory poetyczne, niechże z niemi zapoznaje się i dalej, ale od pisania niech się jeszcze wstrzyma.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:**

GAŁERYĄ DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyj na pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 34 wyszedł z druku i zawiera:

Cuda pracy ludzkiej. — Szczęście (wiersz). — Wnuczęta (komedyjka.) — Kto to, proszę Mamy? (drzew.) — Chłopczyna z Wadowic. — Polowanie na dzikie słonie w Afryce (drzew.) — Skarb Kubusia. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Franuś (z drzew.)—Panna Zapominalska (wiersz). Wykład nauki poglądowej. — Helenka na wsi (wiersz). — Koza. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusze z drzeworytami: zaległy i bieżący.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Августа 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 34.

(*Dokończenie*).

N. 19—20 i ryc. 7. Firanka. Robota szydełkowa, wiązana, i kratka ażurowa. Patrz ryc. 14—15 w N. 33. Firanka i lambrekina górna są z materyału zwanego juttą; u dołu firanki obrąbionej na 3 cent. przyszywa się frendzlę, która u lambrekiny wysiepana jest wprost z materyału. Pasy kratki ażurowej u góry idą poprzecznie, na firance wzdłuż, zamiast frendzli można dać ząbki szydełkowe wskazane na ryc. 7. Rycina 14—15 w N. 33 Tyg. mód przedstawia praktyczne urządzenie zawieszenia firanek, które teraz wchodzi w użycie zamiast zwykłego ściągania na kółka; składa się ono z listewki drewnianej $1\frac{1}{2}$ cent. grubej, 4 cent. szerokiej, opatrzonej mocnemi żelaznemi kółkami do zawieszenia na hakach od firanek. Przed listewką przytwierdzony jest na końcach okrągły pręt ruchomy mający $7\frac{1}{2}$ cent. obwodu, w którym w odstępach po $5\frac{1}{2}$ cent. osadzone są kolce żelazne po $2\frac{1}{2}$ cent. długie. Na te kolce zaczepia się firankę, jak to widać na ryc. 14, a górną lambrekinę można przybić gwoździkami wprost do listewki drewnianej. Rycina 20 daje wzór frendzli wiązanej z nitek tła wysiepanego, ozdobionej kwaścikami.

N. 21. Altanka z firankami. Maleńka altanka pleciona robotą koszykarską odpowiednia dla osoby słabej potrzebującej siedzieć na świeżem powietrzu, mieści w środku kanapkę pokrytą kretonem pikowanym guziczkami. Ściany wewnątrz całe powleczone kretonem i zdobne pasami







N. 3. Kapelusz z rondkiem spuszczonem z przodu, zdobny repsową wstążką i buldeneżami.



N. 1. Kapelusz okrągły zdobny wstążką i piórami. Patrz ryc. 10.

N. 2. Kapelusz z okrągłą główką zdobny girlandką fijołków i wstążką.

N. 4. Suknia z fartuszkową tuniką. Patrz ryc. 3 w N-rze 33.



N. 5. Suknia z vêtement.



N. 6. Stanik z krótką baskiną. Patrz ryc: 17.

ażurowemi z jutty (patrz ryc. 7); takież firanki zakończone frendzlą podług r. 20.

N. 22—24. Suknia z żabotem.

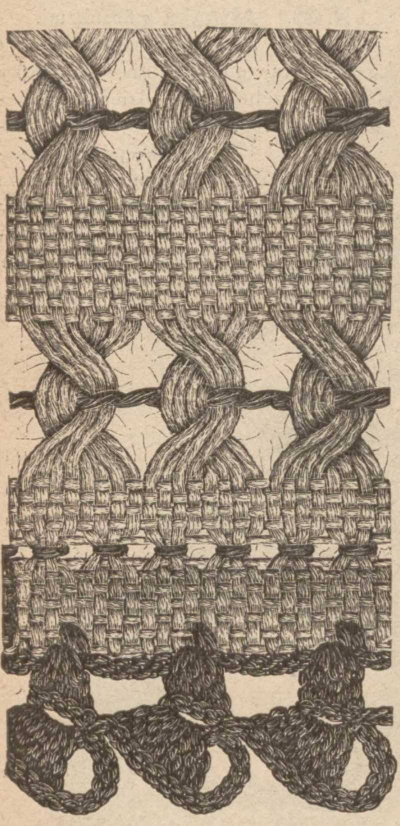
Odrobiona z granatowej grenadyny, przybrana żabotem który może być z tego samego materyału lub z materyi surah. Ryc. 24 przedstawia oddzielnie żabot, na który kawałka 70 cent. długiego, 50 szerokiego, u góry podwiniętego 6 cent. szeroko i sfałdowanego z nagłówkiem w cztery kontrafałdy po 5 cent. szerokie. Na wcięciu stanu żabot przemarszcza się ściśle a u dołu podkłada w bufę; kokardy z wstążki 5 cent. szerokiej. Rękaw zakończony fałdowaniem, przepiętem węzłem, podług ryc. 22.

N. 25—26. Kokardy do sukni.

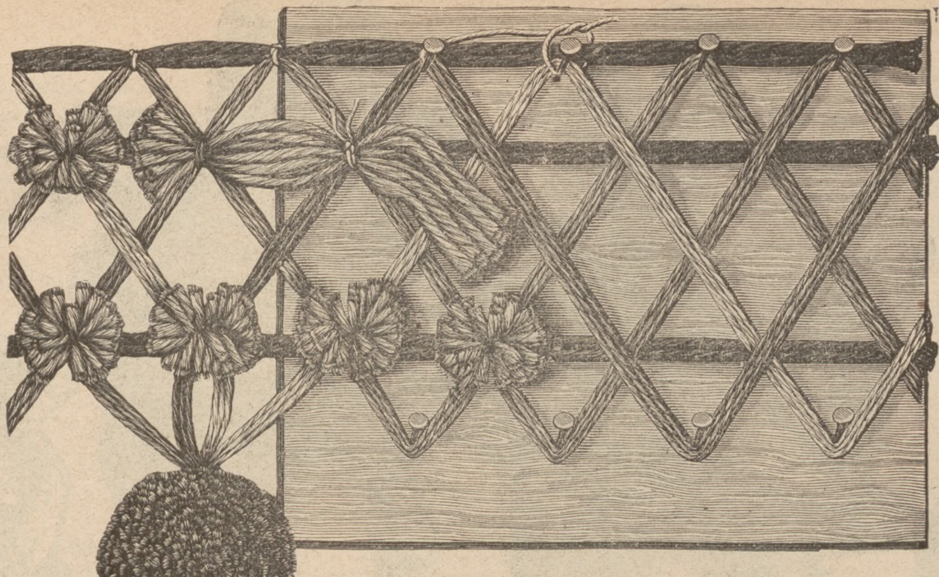
Ułożone są z aksamitki 22 c. szerokiej; wielka kokarda ryc. 25 do przypięcia z tyłu na baskinie składa się z dwóch końców, długiego i krótkiego, wyciętych w głębokie zęby i z pukla 47 cent. długiego; zamiast węzła klamra metalowa. Mniejsza kokardka z kawałka wstążki 47 cent. długiego, ściętego skośnie w jednym końcu a w ząb w drugim, który w środku przepięty klamrą.

N. 27, 38 i 40. Koszyczek ręczny.

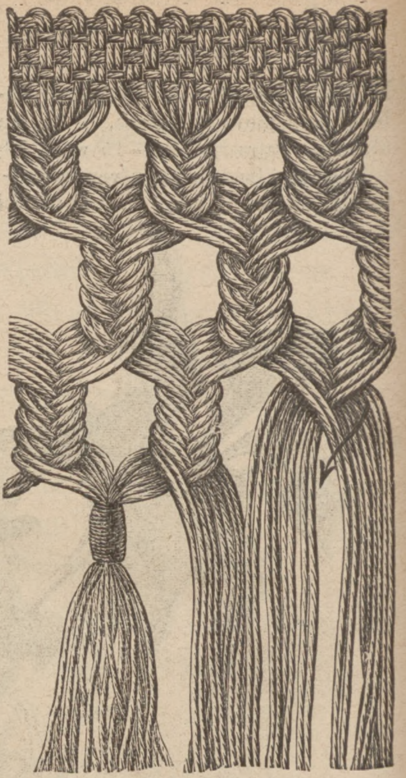
Odpowiedni na robotkę lub drobne sprawunki, ma denko owalne 28 cent. długie, 9 szerokie, boki 18 cent. wysokie i pleciony jest ażurowo. Rycina 38 daje w naturalnej wielkości część wyszycia na bokach koszyczka; szlak ten powtarza się dwa razy a u góry i u dołu zakończony jest szydełkową torsadką odrobioną podług r. 40. Do wyszycia użyta włóczka kolorowa, bajorek i nitka złota; torsadka robi się z dwóch rzędów szydełkowej roboty, z cienkiej włóczki i nitki złotej: * 5 o. pow. 1 o. przewlec przez pierwsze z o. pow. i przerobić obydwie na szydełku będące pentelki 1 o. podług strzałki na ryc. 40; powtarzać od gwiazdki. Robiąc rząd 2 w ten sam sposób co pierwszy dodaje się tylko 1 o. śc. zaczepione między ząbkami pierwszego rzędu. Wewnątrz koszyczek podszywa się kaszmirem lub kretonem.



N. 7. Wiązanie kratki ażurowej i ząbki szydełkowe do ryc. 19 lub 21.



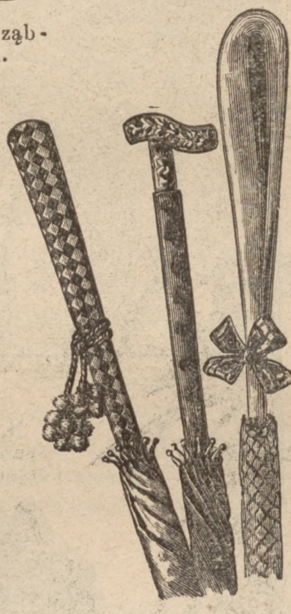
N. 8. Frendzla wiązana w ramach zdobna ciętemi pęczkami i kulkami.



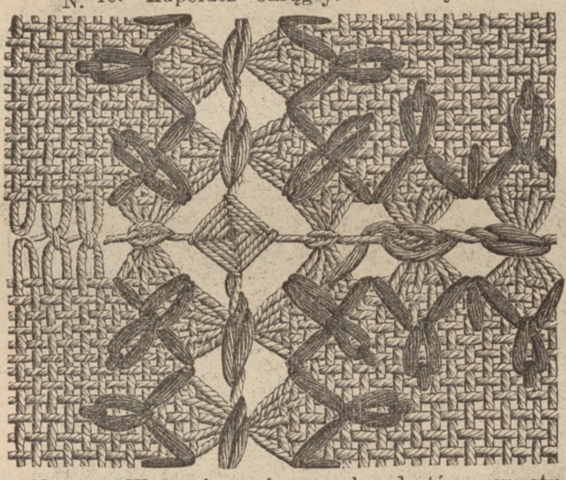
N. 9. Frendzla pleciena z prostych promieni, wiązanych u dołu w kwaściki.



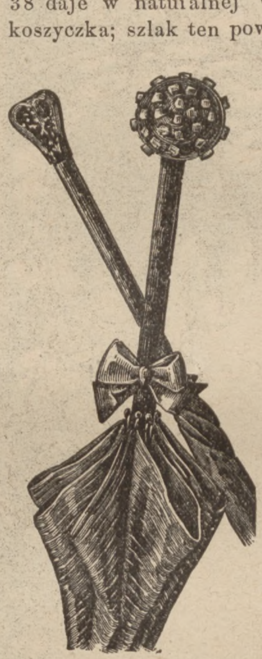
N. 10. Kapelusz okrągły. Patrz: ryc: 1.



N. 11. Laska z rączką malowaną do parasolika.
N. 12. Laska nabijana srebrem.
N. 13. Laska z kości słon.



N. 18. Wyszycie z brzegu kwadratów serwety Patrz ryc. 29.



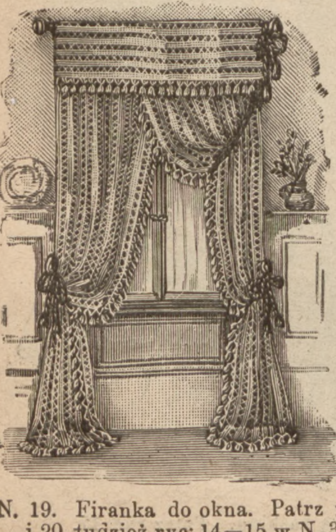
N. 14. Laska z gałką nabijana złotemi lub srebrnemi goździkami.
N. 15. Laska okuta srebrem.



N. 16. Stanik przybrany wstążką.



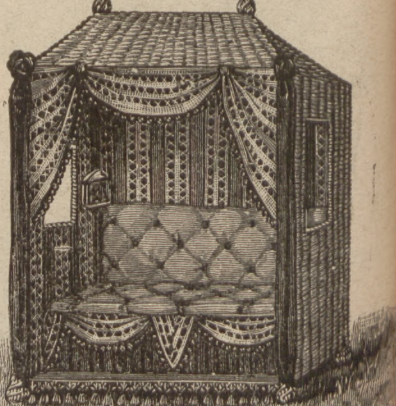
N. 17. Stanik z krótką baskiną. Patrz ryc. 6.



N. 19. Firanka do okna. Patrz ryc. 7 i 20, tudzież ryc: 14—15 w N. 33.



N. 20. Frendzla wiązana, zdobna kwaścikami.



N. 21. Altanka z firankami; odpowiednia dla osoby słabej potrzebującej siedzieć na świeżem powietrzu.



N. 22. Rękaw do ryc. 23.



N. 24. Żabot do ryc. 23.



N. 23. Suknia z żabotem. Patrz ryc. 24.

N. 28. Serweta z wyszyciem krzyżykowem i kratką. Patrz ryc. 8 w N-rze 33.

Serweta w adamaszkowy deseń liczy bez frendzli 9 c. szerokiej 137 c. długości, 132 szerokości; w odstępie 9 cent. od brzegów przerobiona jest ażurowo na szlak 10 cent. szeroki. Wiązanie kratki w szlaku wskazaliśmy na ryc. 8 w N-rze 33; wyszycie krzyżykami bawełną granatową w dwóch cieniach można dodać podług deseników podawanych w Tyg. mód



N. 27. Koszyczek ręczny z wyszyciem. Patrz ryc. 38 i 40.

N. 41. Suknia z falbanami i tuniką.

Na spódnicy dane trzy szerokie marszczone falbany, zakończone wąziutkiem plisowaniem; najniższa dana w około, dwie wyższe tylko z boku. Przód tuniki fartuszkowej stanowią dwa bryty spadające w ząb, z prawego boku złożone w fałdę wachlarzową; tylne upięcie z dwóch prostych brytów suto podpiętych. Plecy stanika zakończone fałdowanem karoczkiem, krótkie przody zdobne ranwersami, dopełnione kamizelką oszyte są u dołu plisowaniem i zapięte dużym guzikiem. Kołnierz stojący i mankiety przykryte plisowaniem.



N. 25—26. Kokardy do sukni.



N. 28. Serweta ze szlakiem wyszytym krzyżykami, z kratką ażurową. Patrz ryc. 8 w N-rze 33.

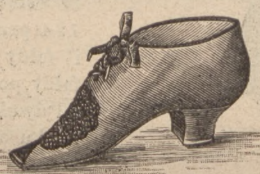
N. 29. Serweta w kwadraty tkane ręcznie na warsztaciku lub z kanwy płóciennej. Patrz r. 18.

N. 30—36. Buciki dla pań i dzieci.

Na tych kilku rycinach przedstawiliśmy modele letnich bucików, z nizkiemi angielskiemi obcasami lub á la Lonis XV. Rycina 18 przedstawia bucik półwysoki z jasnej skórki; z czarnym szpiczastym noskiem z przodu jak to ostatnia moda wymaga i z ażurowym haftem poniżej podbicia. Bucik z czarnej lakierowanej skórki (ryc. 19) odpowiedni do spacerowego lub wizytowego ubrania, w pierwszym razie ma dużą kokardę ze skórki lub wstążki z szeroką klamrą srebrną, w drugim maleńką kokardeczkę ze skórki jak na ryc. 33. Rycina 30 przedstawia wysoki bucik z materyi jedwabnej piaskowego koloru od dołu sznurowany, w górze zapięty na paski i guziki i obłożony w około czarnym lakierem. Trzewiczek dla dziecka uszyty z niebieskiego safianu zdobny jest rozetą z niebieskiej wstążeczki. Na ryc. 36 dajemy model bardzo praktycznej podeszwy gutaperkowej z obcasem, którą przytwierdza się pod podeszwą bucika wychodząc w dzień wilgotny.



N. 30. Bucik z materyi jedwabnej obłożony lakierem.



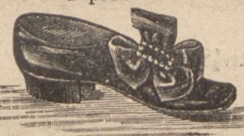
N. 31. Trzewik haftowany z przodu.



N. 34. Trzewiczek dla dziecka.



N. 32. Trzewik spacerowy z dużą kokardą i sprzączką.



N. 35. Trzewik wycięty do ubrania spacerowego dla dziewczynki lub chłopca.



N. 33. Trzewik wizytowy z maleńką kokardką.



N. 36. Podeszwa gumowa do przytwierdzenia pod bucikiem.

N. 43. Fartuszek bluzkowy, dla dziewczynki. Patrz ryc. 6 i 28 w N-rze 33.

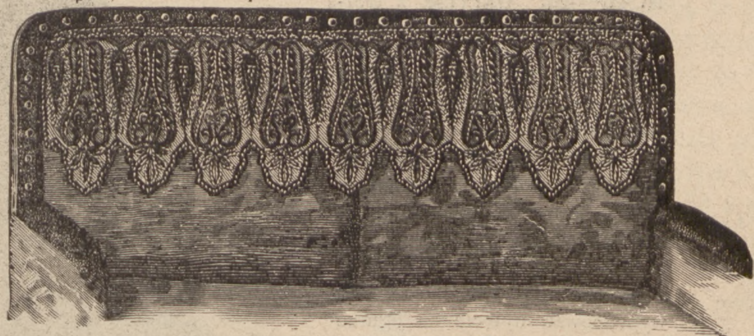
Może być uszyty z materyału wełnianego, perkalu, satynki lub t. p. i zdobny szlaczkiem z odmiennego materyału wyszytym włóczką, jedwabiem lub bawełną podług ryc. 6 w N-rze 33; prócz szlaczku dane ząbki szydełkowe. Rycina 28, w N-rze 33 daje wymiar bryta prostego, stanowiącego fartuszek w którym na środku podcina się wykrój szyi i rozporek. Brzegi boczne zszywają się od gwiazdki do dwukropka i od krzyżyka do kropki; rozporki stanowiące wykrój pachy zakończyć ząbkami i szlaczkiem; szerokość ramion zbiera się do 7 cent. przez złożenie fałdek.

N. 44. Sukienka z kaftanikiem, dla dziewczynki lat 6-8. Patrz ryc. 17 w N-rze 33.

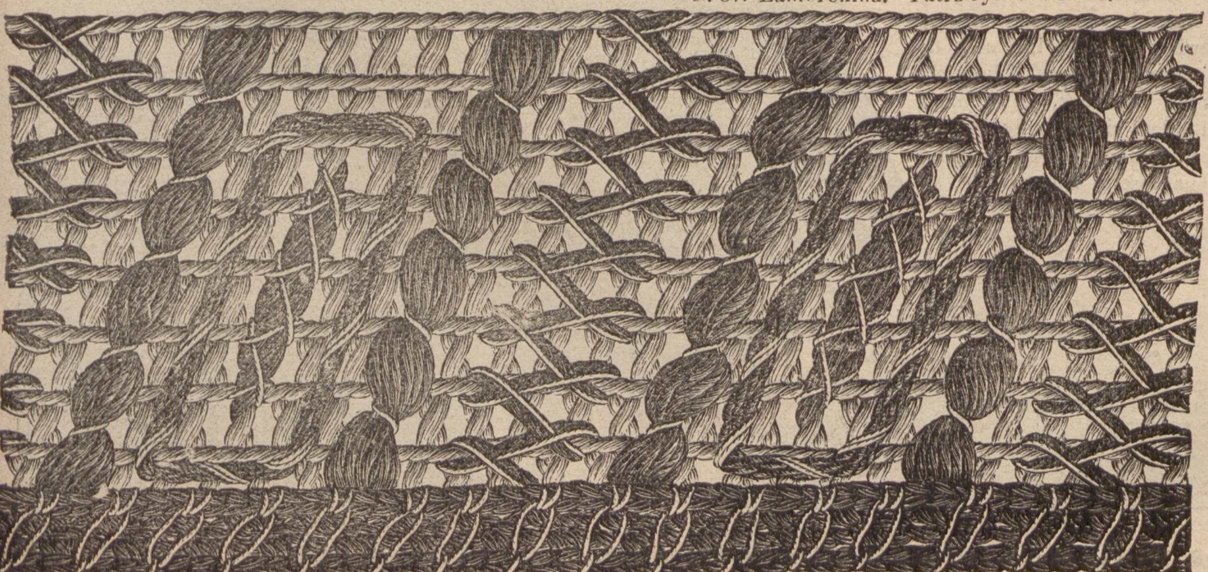
Na spódniczce w kratkę popielatą z ponsowym, upięta draperya z bryta 60 cent. długiego, 43 szerokiego, z brzegów bocznych sfałdowanego do 30 cent. długości i przyszytego z jednego boku pod kontrafałdy, z drugiego pasem haftu 10 cent. szerokiego. Upięcie tylne dane z bryta 92 c. długiego, 74 szerokiego. Przody kaftanika otwarte na kamizelce marszczonej, krają się 8 c. krócej niż boczki i plecy i oszywają w około haftem. Kokardy z ponsowéj wstążki.

N. 37. Lambrekina na poręcz od kanapy. Patrz ryc. 7 w N-rze 33.

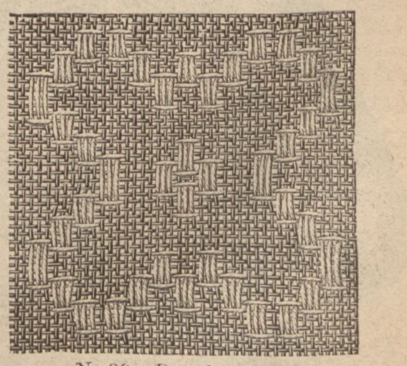
Rycina 7 w N-rze 33 przedstawia w naturalnej wielkości jeden ząb lambrekiny, odrobiony na piaskowym baście, z aplikacyą z kolorowej materyi. Do haftu i obwodzenia konturów użyta filozela, nitka złota, sznela i jedwab. Dolne zakończenie zębów stanowi sznureczek złoty przewijany podług ryc. 7, supełki jedwabne jako środeczki i dwie nitki szneli z brzegów.



N. 37. Lambrekina. Patrz ryc. 7 w N. 33.



N. 38. Wyszycie do ryc. 27.



N. 39. Deseń kwadratu do serwety ryc. 29, tkanego ręcznie.



N. 40. Torsadka szydełkowa do ryc. 27.



N. 41. Suknia z falbanami i tuniką. N. 42. Suknia z krótką draperyą. Patrz r. 1 w N. 33.



N. 43. Fartuszek bluzkowy. Patrz ryc. 6 i 28 w N. 33. N. 44. Sukienka z kaftanikiem dla dziewczynki lat 6—8. Patrz rękaw ryc. 17 w N. 33.

N. 45. Bluza do gry Lawn-tennis.

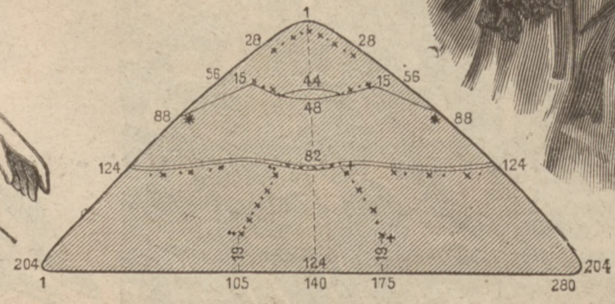
Ubranie dla młodej panienki do angielskiej gry Lawntennis, zastępującej kroketa składa się ze spódniczki w pasy białe z pąsowym i z bluzy z materyału trykotowego (jersey). Obie połowy przodu krają się w jednym ciągu i mają pod podłużnym wykrojem szyi, rozporek 15—20 cent. długi sznurowany pąsową pletnią. Szeroki szalowy kołnierz i mankiety są z tego co spódniczka materyału.



N. 45 Bluza do gry Lawn-tennis, dla młodej panienki.

N. 46—48. Okrycie z trójkątnej chustki koronkowej.

Rycina 47 i 48 przedstawia przód i plecy okrycia, naktóre zużytkować można bez przecinania, wyszłą z mody trójkątną chustkę koronkową. Rozmiar chustki i sposób przefałdowania oznaczamy na ryc. 46, podług tego trzeba wymierzyć chustkę i stosując się do jej rozmiaru wyprobować upięcie na figurze osoby która ma ją nosić. Dolny róg chustki zwraca się do góry i wywinięty podług linii od 1 do 88, tworzy kapturek i kołnierz przedni; kapturek, na środku u dołu zbiera się w fałdy podług znaczków na ryc. 46, w górze zaś na wykrój szyi składa się we dwoje i przymarszcza w nagłówek (patrz ryc. 47). Brzegi przednie w miejscach oznaczonych gwiazdką zapina się z przodu broszą lub wiąże wstążką. Wzdłuż podwójnej linijki na ryc. 46 od 124 przez 82 do 124 przefałdowywa się chustkę na wcięciu stanu podług objętości figury i fałdy podszywa od spodu wstążką 4 cent. szeroką, która utrzymuje fałdy podpinające rękawy. Karoczko tworzy się złożywszy z tyłu fałdy od dwukropka do dwukropka i od krzyżyka do krzyżyka, w skośnym kierunku od 82 do 19. Kokardy z aksamitki lub wstążki.



N. 46. Wymiar chustki i oznaczenie fałdowania, do r. 47 i 48.



N. 47—48. Okrycie z trójkątnej koronkowej chustki.